Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 32. POZNAŃ. 1844.

POEZJA.

Więcéj, och więcéj!

Cóż więcéj trzeba? — w przyjacielskiém gronie,
Gdy puchar krąży, wzrok radością płonie;
Śród rówienników serce lubo rośnie,
I się wywnętrza w piosenkach rozgłośnie.
A jednak więcéj, ach więcéj mi trzeba!
Jabym chciał na świat przyzwać szczęście z nieba,
Jabym chciał, aby nad ziemią ojczystą
Błysło zbawienie zorzą promienistą!

Cóż więcéj trzeba? — nadobne dziewice
Z uśmiechem ku mnie zwracają źrenice,
A gdy z różanych ust pienia zadźwięczą,
Wnet mnie zachwytu opromienią tęczą.
A jednak więcéj, och więcéj mi trzeba!
Jabym na ziemię przyzwał szczęście z nieba,
Jabym chciał, aby w pełnéj życia sile
Wstała dziewica, drzemiąca w mogile.

Cóż więcéj trzeba? — gdzie tanecznic koło
Przy światłach mknie się po sali wesoło,
Gdzie brzmią toasty, okrzyki i śmiechy,
Tam i ja wspólnéj doznaję uciechy.
A jednak więcéj, och więcéj mi trzeba:
Jabym na ziemię przyzwał szczęście z nieba
Jabym weseléj, raźniéj, tańczył sobie,
O rannéj, ludom szczęściowieszczéj dobie.

Cóż więcéj trzeba? — w chwilach samotności
Myśl moja orłem, co w obłokach gości,
Przezrocza cudów wyśnionych przepływa,
I w każdéj chwili kraj nowy odkrywa:
A jednak więcéj, och więcéj mi trzeba!
Jabym chciał na świat przyzwać szczęście z nieba,
Jabym chciał w górze miłością zawisnąć,
I lud wzgardzony do łona przycisnąć.

Więcéj, och więcéj! — Wy ludzie strupiali!
Blada to miłość, która w was się pali,
Śle dymy w górę, a stygnie u dołu —
Wy nie pragniecie szczęścia dla *ogółu*.
Prócz uciech zniknłych codziennego chleba,
Więcéj, och więcéj do szczęścia nam trzeba!
Więcéj, och więcéj! — a wnet pośród ludu
Wybiją czyny słynne, jak jaw cudu!

A. Cywiński.

Znajdek.

Baśń gminna.

(Z Wspomnień Romana Mazura.)

Śmierć i żona,
Od Boga sądzona.
Przysłowie narodowe

(Dokończenie.)

Posłał tedy zbrojne sługi, surowo im nakazując, żeby się niepoważyli wracać bez wykradzionéj któréj bądź z książęcych córek; a sam wśród lasu, w obozie owym, czekał przyszłéj narzeczonéj.

Sługi poszły ciemnym zmrokiem, w krzakach konie zataili, sami po sznurach przeszli mur zamkowy, zaczaili się w ogrodzie. — Właśnie w on czas Marja biedna, szczęśliwa że się wreście dostała z swego ukrycia, chodziła przechadzką bezpieczna o siebie; zadumana szła nad stawem, pątrząc na gwiazdy złociste, odbite w wodzie milczącéj, aż zbliżyła się niewiedząc do gęstwiny, gdzie sługi książęce się skryły. Razem z za krzaków trzech ich wyskoczyło, i nim krzyknąć podążyła, twarz chustkami jéj zakryli, pochwycili na ramiona, rączo za mur przedarli się, wskoczyli na lotne konie i do lasu pogonili, o północy przylecieli do książęcego taboru.

W starym kościele już wszystko gotowe było do ślubu — pustelnik w stule stał przy ołtarzu, obok drewnianego krzyża migotały się słabo dwie tlejące lampy; przed kościołem zaprzężona do drogi, państwa młodych czekała kolasa. Na tentent sług wracających, skoczył na dwór młody książe, porwał z ich ręku dziewicę i do kościoła prowadził, i miłosnemi zaklinając prośby, i strasząc groźbami biedną, drżącą za-

wlókł do ołtarza. Marja z głosu natychmiast poznała narzeczonego — zalękniona, pomięszana, wiarę mu poślubowała; ksiądz związał im ręce stułą, zmienił pierścienie, pobłogosławił. Książe uściskał swą żonę, pocieszał ją, kojąc trwogę, zaprowadził do powozu, sam wsiadł na rączego konia i biegł ze zbrojną drużyną, prowadząc do domu ojców. —

✢ ✢ ✢

Stary ojciec, stara matka skoro rankiem zobaczyli powracającego syna, wybiegli z solą i chlebem w progu powitać synową. Zagrzmiały kotły i bębny, zagrała huczna kapela. Młody książe skoczył z konia, otworzył żwawo kolebkę, podał rękę młodéj żonie, przed rodzicami wysadził — i stanął cały jak wryty: poznał sierotę Marją, którą mu wróżek stary przepowiedział, którą myślał, że stracił na wieki już z oczu! Ona tymczasem do nóg się rzuciła ze łzami swym opiekunom, rodzicom swojego męża; ci z radością ją ściskali, miawszy już ją za straconą, opłakaną nieraz gorżko, teraz odzyskaną znowu. I dziękowali Bogu i synowi swemu, że im przywiódł za synową ukochaną ich córeczkę. Pan młody nie mógł sam z sobą pomiarkować się co robić, widział szczęście ojców starych, weselących się z jego zaślubin, widział, że próżno wszystkiemi sposoby chciał iść na przekór swému przeznaczeniu i że cudownem zdarzeniem stało się jak miało stać — a więc zrzucił z serca pychę, uściskał piękną swą panią młodą, za wszystko złe i zgryzoty, co jéj wyrządził, przeprosił, ona wszystko darowała, zapomniała — bo kochała go oddawna.

I szli wszyscy uradowani na wysoki dwór książęcy, obchodzić gody weselne. Posłaniec z wieścią o ślubie biegł zaprosić dwór sąsiedni na gonitwy, uczty, łowy: dwanaście sióstr urodziwych z ojcem starym przyjechało, młodéj parze winszowali, drogie dary im składali. Dziesięć niedziel tam gościli, dziesięć niedziel weselili, wreście do dom powrócili; młoda para w długie lata żyła szczęśnie w czci u świata.

PRZYPIS.

Baśń niniejszą zdarzyło mi się po kilkakroć słyszeć, i równie jak wszystkie powieści Ludu, za każdą razą odmiennie w téj lub owéj części; raz nawet spisałem ją byłem już znacznie różną, — osobliwie w zakończeniu. — Tu podaję ją wiernie skreśloną podług opowiadania staréj prządki z Nieporętu;*) a doskonała całość i zgoda cechująca cały bieg rzeczy, daje mi prawo sądzić, że to jest właściwa, pierwotna postać bajki, z któréj późniéj każdy opowiadacz, dowolnie dodając i wyjmując szczegóły, tworzył waryanty. — Bieglému oku snadno będzie ocenić niejaką — że się tak wyrażę — historyczność téj powieści; co potwierdza silnie wzmianka zachowana w niéj o *poganach*, siedzących gdzieś w *Podlaskiéj stronie* (wyrażenie dosłowne bajarki). Oczewiście jest to wspomnienie Jadźwingów, wyplenionych do szczętu orężem polskich książąt, których nazwisko zginęło wśród Ludu, ale pamięć widno została w podaniu — nie tylko tym jednym. Szczegół ten wskazuje starożytność baśni, równie jak inne widoczne cechy, z których na jedną osobliwie, zwracam uwagę — na wróżbę z rozwinionéj na wiatr chorągwi, wskazującéj, podług tego, ku jakiéj powieje stronie, drogę rycerstwu. Jest to jedno z najpiękniejszych, mocno charakteryzujących wiek, kraj i ducha wojaków owych żelaznych, podanie, pełne dziwnego uroku i poezyi. — Na inne pojedyncze części téj znakomitéj wartości powieści, wskazywać nie będę i nie potrzebuję. Dodam tylko na koniec, że dwuwiersz:

»Młody książe! idź w pokoju
Zdrów i sławny wrócisz z boju.«

żywcem z ust opowiadającéj wziąłem. —

Roman Mazur.

*) **Nieporęt**, wieś rozległa, niegdyś mieszkanie Jana Kazimierza, w okolicy miasta Serocka.

KRYTYKA.

Die Atheisten und Gottlosen unserer Zeit

von

Friedrich von Sallet.

Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

(Ciąg dalszy.)

Zaczynamy więc rozbiór tego dzieła od skreślenia stanowiska, z którego się Sallet na swój przedmiot zapatruje, a które jest następujące:

Bóg nie jest ani *to*, ani *owo*, ani *ten*, ani *ów*, ale jest prosto *duchem*. Duch zaś nie jest żadną rzeczą zmysłową, nie jest przestrzenią i czasem zawarowany, lecz jest wszędzie działający i wszędzie obecny. Wszechobecność Boga nie tak przecież rozumieć trzeba, że Bóg wszędzie tylko jako bierny widz przytomnym, lecz, że wszędzie *jako duch tchnie*, *objawia się i działa;* inaczéj nie byłby duchem; albowiem duch ukryty, sam w sobie spoczywający, i nieczynny, duchem

być nie może, boby był duchem bez ducha; a to jest niedorzecznością.

Stąd wynika, że Bóg wszystkie postaciowania się i działania natury, a w daleko wyższym stopniu wszystkie działania i utwory ducha człowieczego swą istotą rzeczywiście przenika i napełnia, — że w nich rzeczywiście jako duch jest obecnym, i że się *z zewnątrz* nich jako ich kierownik i dozórca żadną miarą znajdować nie może. Ci, co Boga z natury i z ludzkiego działania i życia wydalają, robią go tém samém istotą ograniczoną, bo wytykają mu linią demarkacyjną, któréj mu przestąpić nie dozwalają, a zatém *Nie-Boga* uznają *za Boga*.

Świat jest objawieniem i przedstawieniem Boga samego, rozumie się o tyle, o ile Bóg w jawności jako pojaw objawić się i przedstawionym być może; — człowiek zaś, jako najwyższy szczebel natury, na którym ona sama duchem się staje czyli się uduchownia, jest objawieniem i przedstawieniem Boga w największéj możebnéj mierze; bo człowiek objawia i przedstawia Boga-Ducha, jako duch i w duchu, — przedstawia nieskończonego ducha takim, jakim on po wcieleniu się w ducha skończonego być może i rzeczywiście jest.

W wszystkich ludzkich stósunkach, usiłowaniach i czynach, jest więc Bóg obecnym, jest on ich najwewnętrzniejszą duszą, jest ich rdzeniem i szpikiem, a to w tym większéj pełni, im więcéj cechą duchowości napiętnowane, w nich doznaje Bóg własnego swego rozwinięcia, którego też tylko w dziedzinie ducha ograniczonego doznawać może, bo za tą sferą niemasz już żadnego rozwijania; tam tylko jest Bóg sam w sobie od wieków ukończony.

Przeto naszém jedyném, — bo jedynie rozsądném — zadaniem życia, a nawet zadaniem świata to tylko być może, abyśmy ducha Boga, którego poświęconemi naczyniami jesteśmy, i jego rzeczywiste istnienie w nas samych coraz jaśniéj uznawali, i abyśmy go, — co bezpośrednio po uznaniu nastąpić musi, — w naszém myśleniu, życiu i działaniu coraz czystszym, prawdziwszym i do siebie samego podobniejszym przedstawiali, tak, aby on się w nas poznał, a my w nim. Naszą skończoność powinniśmy aż do nieskończoności czystéj myśli ulotnić, życie i historyą powinniśmy w źródle boskości ochrzcić, aby duch po zupełném strawieniu wszelkiéj ciemnéj i upornéj materyi, w samych tylko niezmysłowych, przezroczystych zarysach pozostał, któreby już nic więcéj nie przedstawiały i nie zawierały, jak tylko ducha samego; *naszą obecność* powinniśmy w *jego wszechobecność* przekształcić, słowem: *jego królestwo przyjść powinno.*

Z tego najwyższego stanowiska, którego duch ludzki w naszych czasach dościgł, a aż do którego i nasz autór wzbić się potrafił, nie trudno dzisiejszych ateistów oznaczyć.

Ateistami są wszyscy ci, którzy obecności Boga w różnych dziedzinach życia i działania ludzkiego uznać nie chcą; którzy zaprzeczają, że człowiek jako duch, ducha bożego wiedzieć i w czynie swoim przedstawić może, a nawet wiedzieć i przedstawiać powinien. Stąd jasny wniosek, jako w duchu ludzkim niewidzialny i jako w czynie ludzkim nieprzedstawialny, też i sam siebie w duchu ludzkim ani wiedzieć, ani się też w czynie ludzkim przedstawiać, ani się też w obu razem objawiać nie może. I na cóż im się przyda, że Bogu gdzieś tam za światem jako mistycznéj, mniéj lub więcéj w szatę zmysłowości odzianéj osobistości tronować zezwolą, kiedy mu mieszkanie w samych sobie wypowiedzieli?

Taki Bóg ze świata gdzieś tam na jakieś pustkowie wygnany, ulegając prawu przestrzeni i zmysłowości, nie jest Bogiem, ale bałwanem. Wyższa wiedza naszego czasu, uznająca Boga, jako ducha wolnego bez wszelkich granic i zapór, nie chcąc swéj godności ubliżyć, przed takim bałwanem swego opromienionego czoła nie schyli.

Bezbożnikami więc wszystkich tych mianować należy, którzy nie starają się, i to o nic więcéj, jak o to jedynie, aby Boga w całém swojém życiu i działaniu objawiali, — którzy za rzecz główną uważają uganianie się za celami szczegółowemi, drobnostkowemi, materyalnemi i zmysłowemi, a Bogu tylko potocznie w pewnym oznaczonym czasie swoją czołobitność oddają, jakby jakiemu wielkiemu panu, przed którym dla tego, że potężnym, łasić się i od czasu do czasu jego względom przypomnieć się potrzeba. W końcu i ci wszyscy są bezbożnikami, którzy się od wielkiego rozwijania ludzkości samowiednie i samochcąc usuwają. —

Podług takiego pojmowania rzeczy do kategoryi ateistów niejeden się dostanie, co codziennie *ciało i krew* pańską pożywa, ale *ducha* bożego od siebie odgania; dostaną się tu i wszyscy ci, co to ducha swojego w ślamie głupiéj pobożliwości i ciemnéj mistyczności topią, i przewróconemi oczami aż tam gdzieś nad sobą Boga dopatrują, a w sobie i w koło siebie go nie widzą; dostaną się tu i ci, co się w kałuży egoizmu i materyalności aż pod uszy tarzając, całe życie nad tém tylko marnują, aby jak największą kupę *gnoju materyalnego* pod siebie nagarnąć, a o prawdzi-

wym duchowym celu życia ani nie pomyślą; słowem, dostaną się tu wszyscy ci, co *ducha*, gdzie go tylko schwycić mogą, jakby nieprzyjaciela prześladują; co przeciwko *duchowi* bluźniąc, *bezduchowość* czczą i uwielbiają. A tak stanie się ateizm predykatem daleko większéj połowy ludzi, którzy częścią bez wiedzy, a zatém *niewinnie*, częścią zaś samowiednie, a przeto *winnie*, duchobójcami czyli bezbożnikami pozostają.

Oto jest myśl główna, służąca za środek wszystkim mniejszym i większym kołom życia ludzkiego, które wszystkie jako współśrodkowe do tego jedynego środka się odnoszą, które wszystkie promieńmi z tego jedynego środka wychodzącemi przeniknione, i wszystkie w tym jedynym środku rdzeniem swego bytu się skupiają.

Człowiek uważany w naturze, stanowi najmniejsze koło, w którém duch nad wyłamywaniem się z ciemnéj materyi, przez wcielanie natury w słowo pracuje: w słowie bowiem, czyli w najpierwszym dechu ducha ludzkiego dopiero natura staje się duchem. Tu jednak jeszcze natura ducha ludzkiego za rękę prowadzi. — Z tego koła wstępuje człowiek w większe koło małżeństwa, gdzie już duch mężczyzny w duchu kobiety, jako téż i odwrotnie, po raz pierwszy sam siebie, jak gdyby w zwierciedle ogląda. Z tego koła naturalne przejście w przestronniejsze koło familii, które niczém inném nie jest, jak tylko dalszém rozpromienieniem się koła małżeńskiego. Lecz i w tém kole jeszcze człowiek, jako w ostatniém, spocząć nie może, w niém jeszcze duch na pasku natury pozostaje; koło familii całym swym obwodem jako i powierzchnią dotyka się koła większego i pelniejszego, państwem nazywanego; — tu już nie dwie osoby, ani téż kilka osób, rodzinę składających, ale cały naród w swém życiu i w swych czynach ducha bożego objawiać i przedstawiać powinien. — Lecz i naród ciasném jeszcze jest mieszkaniem dla ducha; — jeszcze i tu duch przez naród w styczności z naturą, chociaż już coraz rozprzęglejszéj pozostaje. Dopiero w strumieniu historyi duch swéj największéj pełni dosięga, bo tu staje się duchem, przedstawiającym ducha bożego w przestrzeni i czasie, swego możebnego rozwinięcia dosięgającego. Przeto koło historyi największém już jest kołem, w którém się duch boży przez ducha ludzkiego rzeczywiście objawia.

Po tym ogólnym rzucie oka na koła, w których duch swoją pracę równocześnie odbywa, przystąpmy do bliższego wpatrzenia się w każde koło z osobna, aby tém lepiéj dojrzeć, jak się duch w każdém z nich objawia i objawiać powinien, aby w każdém kole przeciwko duchowi grzeszących, jako ateistów i bezbożników wytknąć.

Rozpoczynamy więc od najciaśniejszego koła, które Sallet napisem: *człowiek w naturze*, odznaczył.

1. Człowiek w naturze. Słowo.

Natura przedstawiałaby ogromne chaos, gdyby nie duch, który ją w sobie do harmonijnéj jednostki sprowadza. Pomimo swych stałych i w system powiązanych praw, podług których swe działania regularnie i ślepo posłusznie odbywać musi, byłaby sama w sobie ciemną, bezładną i martwą, gdyby się wśród niéj porządkujące i uduchowniające poznanie jéj saméj nie obudziło Do tego poznania saméj siebie dochodzi natura w człowieku, i w nim obchodzi uroczystość swego zmartwychwstania. W człowieku dopiero, będącym naturą i duchem razem, pojmuje samą siebie, a tém samém znosi się jako naturę, a staje się duchem. Człowiek stojący, iż tak rzeknę, jedną nogą na szczycie natury, a drugą w krainie ducha, sam jest zdolen przenieść ją przez bezdenną przepaść na łono ducha wiecznego. Sam człowiek sięgający promieńmi swego ducha w głąb' natury i w głąb' ducha bożego, wybrany jest na pośrednika pomiędzy naturą a Bogiem, czyli duchem. — Z umysłu mówię *»duchem«*, nie dodając żadnego epitetu bliżéj go określającego, ponieważ tylko jeden duch w ogólności być może, a będąc *sam jeden*, nie potrzebuje określnika, któryby go *od innych*, obok niego istnących, wyróżniał. Dla tego niedorzecznością jest gatunkować ducha, n. p. ducha bożego i ludzkiego. Duch bowiem jest ową wszystko ogarniającą, w sobie pochłaniającą, i znowu wydającą *jednością*, a téjże przeciwnią jest *wielość* materyi. Jeżelićby duch ludzki względem wiecznéj jedności ducha bożego czémś grubszém, czémś zmysłowszém, czémś niższém, a więc dwoistością być miał, któraby dopiéro w duchu bożym strawioną, zniszczoną i zniesioną być musiała, zanimby się duch ludzki w ducha bożego wjednoczyć mógł, tećby duch ludzki za materyą uważanym być musiał, a w takim razie nie byłby już duchem. Bo duch i materya są względem siebie najwydatniejszymi przecznikami.

Przeto to, co w człowieku prawdziwym jest duchem, jest duchem bożym. Nie tak to przecież rozumieć należy, że każdy człowiek istnym jest Bogiem, po ziemi chodzącym. Byłoby to bałwochwalstwem do najwyższego stopnia posunioném, jakie też istotnie Trentowski filozofom, ostateczną lewicę zajmującym, choć wcale niesłusznie, zarzuca. Ostatecznym rezultatem ich myślenia nie jest bowiem apoteoza człowieka jako jednostki, lecz uznanie ducha bożego w duchu ludzkości na

jaw wypływającego. O ile człowiek wzbić się potrafił nad wszelką zmysłową względność, o ile zewnętrzną przypadkowość daleko po za sobą pozostawił, nie jest już party kularną pojedyńczością, lecz wznosi się on aż do owéj duchowéj eterycznéj sfery, gdzie wszystkie pojedyńczości jak maski spadają, a gdzie wszyscy ludzie, czyli cała ludzkość jedynym tylko i nierozdzielnym jest duchem, a ta jedność, w któréj niemasz duchów, lecz tylko duch jeden, bytuje w samym Bogu i jego samowiedzy. Wyraz *»duchy«* w języku filozoficznym, jako nie dający się w pojęcie wcielić, wcale istnieć nie może. Wiele wprawdzie jest indywiduów, wiele jest dusz, ale duch tylko jeden być może. Duchy zaś, jako zmysłowe utwory fantazyi, na fantasmagoryczny byt w grubéj zmysłowéj wyobraźni nianiek ograniczać się muszą. — Równie jest wyrażenie *»duch skończony«*, którém ducha ludzkiego oznaczać przywykliśmy, ściśle biorąc wcale nielogiczném, bo co jest duchem, koniecznie nieskończonem być musi. Tak nazwany duch skończony, jest téż istotnie duchem nieskończonym, czyli tegoż objawem, o tyle, o ile duch nieskończony w nieskończoności objawiać się może. — W skutek téj skończoności znajduje się duch ludzki w szrankach przestrzeni i czasu zawartym, które tylko olbrzymiém wytężeniem przezwyciężyć i przełamać zdoła, aby napowrót na łono ducha bożego powrócić, i z nim w jednę jedność się przelać. Duch nieskończony zaś, t. j., Bóg w swéj nieskończoności pozostający, nie jest ani w przestrzeni, ani w czasie zawarowany, ani téż za przestrzeń i za czas wysadzony; lecz przestrzeń i czas są jego własnemi wolnie poczętemi określnikami (myślami), któremi on nie jest określony, lecz które on sam w sobie kreśli i maże, a które ani w nim samym, ani też przeciwko niemu samemu żadnéj mocy, i żadnego znaczenia nie mają.

Człowiek więc jest pośrednikiem pomiędzy naturą a Bogiem. On budzi naturę z głębokiego snu, podnosząc prawo konieczności w niéj działające myślącém pojmowaniem w sferę wolności ducha. Albowiem ciemne prawo konieczności okazuje się w pojęciu jako jasny wypływ ducha. Duch zaś, nietylko wolnym, ale samą jest wolnością. Co duch zatém z siebie wysadza, nietylko z łona wolności, ale i na wolność wysadza; wypuszcza on swój wysad z siebie, i pozwala mu samemu w sobie bez wszelkiéj zewnętrznéj przynuki, odpowiednio do swéj istoty postaciować się i rozwijać. W duchu więc staje się konieczność natury wolnością, a nie urojoną tylko, lecz rzeczywistą. Tak wygląda natura po raz pierwszy w człowieku po za swój martwy mechanizm, i przechodzi przez ducha ludzkiego do boskiego i wiecznego życia w samym duchu nieskończonym, i za pomocą tego pośrednictwa pozostaje w bezustannéj z nim styczności.

To uduchownienie natury odbywa się w słowie. Duch ludzki, będąc w karby skończoności ujęty, potrzebuje, aby się sam w sobie pochwycić, a potém z wnętrza swego świat zmysłowy pokonać mógł, jeszcze skończonego, zmysłowego środka. Tym środkiem jest mowa, będąca ciałem ducha i jego objawem. Z jednéj strony podobna ona wielością dźwięków i znaków do wielości materyi, czyli do natury, a z drugiéj strony objawia ona w téj mnogości dźwięków i znaków wieczną jedność ducha.

Słowo zajmuje takie stanowisko między naturą a człowiekiem, jak człowiek między naturą a Bogiem. Słowo podźwiguje naturę aż do człowieka, i zamienia ją w omowniki ducha ludzkiego. Słowo jest owém ogniskiem spojenném, gdzie materya równie duchem, jak duch materyą się staje.

Zakreśliwszy tym sposobem boskie przeznaczenie człowieka, i uznawszy boskie znaczenie jego słowa, pozostaje nam zwrócić oczy na ateistów w téj sferze.

Pierwsze miejsce należy się owym ze zwieszoną głową w ciemno-głupiéj mistyczności pełzającym pobożnisiom, co sami siebie niegodnemi stworzeniami Boga w swéj pychałkowatéj pokorze nazywają, i Bóg wié jakiemi plugawemi przydomkami obkładają; co sobie wszelkiéj wartości, wszelkiéj żywotnéj stósunkowości, i wszelkiego podobieństwa do Boga odmawiają. Znajdują się oni w stanie niegodnym człowieka, — i z tego względu słusznie twierdzą, że są niegodnemi stworzeniami Boga, — bo marnują oni w sobie i w drugich, których im się w swą dżumową atmosferę wciągnąć uda, *właśnie to*, czém człowiek do Boga jedynie podobnym być może, t. j. *ducha*. Są téż oni w głębokim letargu duchowym pogrążeni, i w ich duchu tak ciemno i tak pusto, jak tylko na świecie być mogło, nim Bóg światłu stać się rozkazał. Swoją gnusność i odrętwiałość duchową uniewiniają wprawdzie tém, że człowiek ani istoty Boga, ani też ścieżek jego nie jest w stanie pojąć; — aleć tak najłatwiéj, oddać się Bogu i wleść w konopie. Wreszcie ta rezygnująca skromność najwygórowańszą jest pychą, która płaszczykiem pobożności osłoniona tém bezkarniéj ducha z błotem mięszać usiłuje. Ci tak nazwani pobożni, są więc prawdziwymi bezbożnikami bo nie uznają obecności Boga tam, gdzie jest jego najświętszy przybytek, t. j. w duchu człowieka. — Wprawdzie uznają i oni Boga, ale jakiegoż? —

Gdzie Bóg istotnie jest, i gdzie się bezustannie objawia, tam go zaprzeczają, a wyganiają go tam,

gdzie żadną miarą być nie może. Przeznaczają mu oni na stolicę a raczéj na więzienie jakieś tam gdzieś znajdować się mające niebo, które przecież niczém innóm nie jest, jak czystą w szalonéj fantazyi ludzkiéj wylęgnioną mrzonką. Bo niechże mi z matematyczną pewnością to niebo oznaczą! gdzież się ono znajduje? Choćby cały świat od końca do końca przemierzyli, lub raczéj, choćby się w świecie bez końca coraz daléj a daléj posuwali, wszędzie zastaną naturę, wszędzie ujrzą świat, a niebo coraz daléj przed nimi uciekać będzie; będzie ono zawsze względem nich *tam*, a nigdy *tu*; ponieważ zaś to, co zawsze jest tam, a nigdy tu, istotnie *nigdzie* nie jest, przeto umieszczają swego Boga w takiém miejscu, które nigdzie nie istnieje, azatém też i ich Bóg nigdzie istnieć nie może; a że to, co nigdzie nie istnieje, jest niczem, więc i ich Bóg jest niczem. — Otóż Bóg owych pobożnych.

Na drugiém miejscu uważać musimy i tych za ateistów, którzy w mowie ludzkiéj tchu Boga i rzeczywistéj obecności ducha bożego uznawać nie chcą; którzy ją raczéj tylko za środek do wymiany myśli w powszedniém praktyczném życiu niezbędnie potrzebny, albo też do pustéj rozrywki i zabawy nader przydatny uważają, a nie uznawają i nie używają jéj jako środka do uduchowniania i do ubóstwiania świata służyć mającego. Są nawet tacy, co niezważając na to, że mowa jest najwewnętrzniejszym wydechem ducha, i że bez ducha mowy być nie może, niedorzecznie utrzymują, że i zwierzęta potrafiłyby mówić, gdyby takiemi organami jak człowiek obdarzone były.

Jest to bluźnierstwo przeciwko duchowi w mowie się objawiającemu i uświetniającemu.

Wielu uznaje wprawdzie ducha bożego w kilku dawnych, tradycyjnie uświęconych pomnikach mowy ludzkiéj, ale też tylko wyłącznie w tych, a nie w innych pismach ducha bożego dopatrują, a wszelkim innym, choćby najwznioślejszym utworom ludziego natchnienia cebhy boskości uparcie odmawiają; a tak chcą ducha bożego podług swego widzimi się w kilku starych szpargałach, jakby móla w swéj ciemnocie zamknąć, bo nie widzą błyskawic i nie słyszą piorunów, któremi on swój pochód przez wszystkie czasy i przez wszystkie pokolenia znaczy.

Ateistami są daléj i ci, co mowy do wszelkiéj czczéj i bezduchowéj paplaniny używają, co ją kłamstwem, sprosnością i jakąkolwiek nieczystością kalają; a w końcu i ci wszyscy, co samochcąc w ciemnocie pozostają, bo nie starając się o oświatę, nie zdołają bez niéj swego ducha w cały świat rozpromienić, i nie potrafią go z téj wszystkości jedności w Bogu wy- i przeprowadzić.

Oto są Ateiści w téj pierwszéj sferze, w któréj człowiek jeszcze jako pojedynka między naturą a Bogiem pozostaje. — Lecz w samym rdzeniu istoty ducha, postulującego ogólnéj jedności, jako też w samym objawie mowy ludzkiéj i w wymodze jak najwyższéj i powszechnéj oświaty, konieczność towarzyskości ludzkiéj dostrzegać się daje, a raczéj towarzyskość i z niéj wynikające mniejsze lub większe koła spóleczne są naturalnym wypływem i objawem ducha. Tuśmy więc stanęli na granicy pierwszéj najciaśniejszéj sfery, którą przekraczając, wchodzimy w drugą jéj najbliższą, gdzie człowieka w pierwszym związku spółecznym, t. j. w małżeństwie uważać będziemy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PISM.

Improwizacje dla moich przyjaciół

Książeczka do zapalania fajek,

przez

I. J. KRASZEWSKIEGO.

Nowa, ta przez płodnego autora wydana książeczka, nosi na sobie cechy wszystkich dzieł Kraszewskiego; — głęboka znajomość człowieka, trafne oddanie charakterów — cieniowanie najdelikatniejszych uczuć serca człowieczego w różnych kolejach życia — rzut oka nieraz głęboki na stósunki społeczeńskie — to zalety autora dzieła »*Świat i poeta*«, które i tu znajdujemy; opuszczenie się, a lepiéj spuszczenie na owo pióro szybko już jakby ze zwyczaju naprzód bieżące, ztąd gadatliwość nieprzebrana i wybryki niby mające być humorystycznemi, a przecież rzeczywiście najmniéj humoru w sobie zawierające — brak zastanowienia się głębszego; — to wady przy wyżéj wymienionych zaletach autora niezmiernie rażące, odstręczające odeń czytelnika. — Lekkomyślne, niby to Don Quiszotskie przypiski, które daje autór życiopisom i innym obrazom pełnym boleści; podobne zupełnie do napisów w »*Notre dame de Paris*«, gdzie wiele rozdziałów, jak ktoś powiedział, zdaje się być napisanych na wydrwienie tego, czém autór chciał trafić do serca ludzkiego i poruszyć je. — To ogólne znamie dziełka, które mieści przecie w sobie mimo tego, kilka kart dość zajmujących. —

Pierwszy rozdział pod nazwą »*Poranek*« jest wstępem, jak mówi autór do téj marmelady z jabłek, konfitur, ogórków etc.; — po nim następuje rodowód »*dyabłów*«, bardzo wprawdzie niedokładny, lecz niektóre ciekawe dyable postacie malujący. — O dyable polskim mówi autór: »My w Polsce, jak wiele innych rzeczy, tak i dyabłów wzięliśmy od Niemców sąsiadów. Nie mamy narodowych dyabłów w żupanach i kontuszach; wszyscy dyabli polscy są Niemcy, którzy indygenat otrzymali u nas. Kto nie wierzy, niech się popyta chłopa, dziewczyny, baby czarownicy; a każde powié, że dyabeł chodzi po niemiecku i jest Niemiec, a przybył do Polski bardzo dawno, daleko dawniéj od Sasów, za Sasów dopiero rozgościł się. Mieliśmy jednak polskiego generała *en chef* gwardyi dyabelskiéj, Twardowskiego, przyjaciela Fausta i z nim podobno spokrewnionego; po nim dyabli rozprzęgli się i pośli jak Lissowczycy w rozsypkę. — Dyabli ci, osobliwie urządzenie stanów i niewolnictwo pochwalali.« — Po tak przez autora nazwanym szpargale trzecim »*o ka-*

szy gryczanéj« idzie rozdział »o śmieciach« który lubo nie wszędzie dobrze wykończony, jest jednym z najlepszych — z najpiękniejszych obrazów, na które się zdobył kiedykolwiek nasz autór. Z niektórych dzielnych rzutów pióra widzim jak wniknął sercem głęboko w tajnię bólów życia poterających najsrożéj nędzarza — bez pieniędzy; — jak zajrzał głęboko w brudy tego pieniężnego świata, w którym lekarz czyni doświadczenia na *ubogim człeku bracie* by *za pieniądz* bezpiecznie już mógł leczyć bogacza — w którym kobieta ze wzgardą depcąca po karku człowieka odzianego w łachmany — sprzedaje się z radością temuż człowiekowi, gdy on został bogaczem. Cały ten obraz przypomina bardzo »żebraka« tegoż autora, fantastycznie odmalowanego. Umieszczamy go cały, — bo wart tego:

»O okropne to życie, życie wymiatacza ulic, tego króla błota, pana śmieci, władzcy wszelkiego plugastwa. Ja byłem takim! ja przecierpiałem to życie, podobne życiu robaka, na którego nikt nie patrzy, chyba zgniotłszy go. — Ubrany w połataną siermięgę, brudny, z miotłą w ręku, z rozpaczą w sercu, stałem, patrząc nieraz, jak kareta pozłocista przelatywała mimo nosa mego i oko moje wyrywało się z głowy, za piękną twarzą, za ujmującym uśmiechem dziewczyny, którą gdzieś tam ciągnęły zabawy, rozkosze, całe niebo świata tego, u którego wrota, złoty klucz tylko otwiera.

Mnie odpychali wszyscy. Brudny, garbaty, śmierdzący, obrzydliwy, zbryzgany błotem, mieszkaniec świata niepołączony z nikim żadnym węzłem uprzyjemniającym to życie, nawykłém powoli do patrzenia bez zazdrości na cudze szczęście, z rozkoszą wystawiałem sobie cierpienia tych istot szczęśliwych, które ozłocone i umyte miały się za stokroć wyższe odemnie zbłoconego nędznika.

A jam był wyższy od nich — ja, do połowy wbity w ziemię, spodlony, jak robak podnosząc głowę, kiedy go depce przechodzień, urągałem wszystkiemu, byłem chodzącym kamieniem; byłem wyższy od nich, bom niemi gardził. Cieszyłem się, widząc cierpiących; śmiałem się z tych, którzy mnie popychali, bom był nieczuły: ciało moje i dusza zahartowały się w ogniu nieszczęść. Powiew wiatru, czy obelga, uderzenie, czy promień słońca padający mi na twarz szpetną, równe mi były. Karmiłem się, czém napadłem: plugawym ścierwem, kośćmi przez psy ogryzionemi; piłem pomyje lub wodę rynsztoków: niedbałem o nic. Raz widziałem śmierć o dwa kroki, nieraz otarła się o mnie, jam niedbał o to. Jak ranek zaświtał, szedłem z miotłą na ulicę najmowałem się wymiatać za kilka groszy, za kawał chleba; potém szedłem pod kościół z żebrakami rozmawiać.

Potrzebowałem ludzi, usiłowałem przywiązać kogokolwiek do siebie, nie dla pomocy, ale tylko dla tego, bym mógł powiedzieć w mojéj duszy, że jest człowiek co mię zna, co mię kocha. Wówczas okryty łachmanami, z miotłą na plecach, zbliżałem się do nich, jak oni do panów, ze strachem, z pokorą. Jam był wyższy nad nich moją pracą, ale oni mną gardzili, bom był uboższy od żebraka. Tu to przypatrzyłem się tym śmieciom rodzaju ludzkiego; poznałem, że w ustach wzywających litości, pod łachmanami tak podłe kryły się dusze, jak i gdzieindziéj. Celem ich życia, był grosz i pokarm; za nie oddaliby wszystko. Głód, zimno, dokuczliwe cierpienia, robiły ich zaciętymi, złymi, okrutnymi. Nieraz słyszałem przekleństwo na tego, który się ich modłom polecał. Widziałem w kruchcie kościołów toż samo, co inni widują w pałacach — ludzi, ludzi z tą miłością własną, z tym uporem, nieczułością przyklejoną od urodzenia do ich serca — widziałem matki odpychające dzieci od siebie i wyrywające im zgłodniałym kawał rzuconego chleba — widziałem drobne dzieci, w wieku niewinności, a już zepsute, z sercem tak fałszywém i brudném, jak ich łachmany.

Patrzyłem i śmiałem się gorzko w duszy. Iluż by było cnotliwych, gdyby im nędza nie stała na zawadzie do cnoty?!

Tak myślałem i chciałem być bogatym; ale jakże nim zostać?

Zabić!! — chciałem zabić bogacza — życie tych półbożków ziemi garści błota niebyło warte w moich oczach. . .

Im bardziéj się nadymali, tém ja nimi więcéj gardziłem, i serce mi pękało, myśląc, że ich kawał kruszcu wynosi tak dalece nademnie; że dla ocalenia życia ulubionego harta, niewahaliby się ani chwili kazać mnie posiekać żywcem na kawałki.

Raz, było to rano, stałem przed kościołem nad kupą śmieci, patrzyłem na rozbitki talerzy, na sznurki, siana ostatki, plugastwa różne, tarzające się pod memi nogami, wtém zaszeleściło coś z tyłu — ujrzałem młode dziewczę, idące do kościoła.

Pierwszy raz może w życiu dwa razy spojrzałem na kobietę: ta warta była, aby na nią patrzeć wieki: była tak ładna, a z oczu, twarzy, sama dobroć, anielska słodycz oddychała!

Ona poszła, ja stałem, i serce mi krwią zabiegło — dla mnie niema kobiet! niema aniołów ziemi! Te, które los równo ze mną postawił w śmieciach i błocie, pogardy godne zwierzęta. Spojrzałem na śmiecie i westchnąłem, myśląc, że z niém całe życie przepędzić muszę.

Jam równy jéj człowiek, myślałem, czemużbym jéj nie mógł posiadać!

Dumną myśl moję zabiła myśl druga: wspomniałem na twarz moją oszpeconą, spojrzałem na ręce, na garb, na bose i pokaleczone nogi, i wyznałem, że w moich objęciach, ten anioł byłby, jak brylant w błocie: rzuciłem miotłę, uderzyłem głową o mur kościoła, chciałem się zabić, skaleczyłem się tylko; krew polała się z rany, muchy osiadły spiekłe skronie, słońce paliło czoło, w usta płynęła krew własna — cały byłem we krwi i serce we krwi pływało. Dziewczyna przeszła mimo, niespojrzała nawet na mnie, i śmiejąc się, rozmawiając z jakimś młodym mężczyzną, znikła mi z oczu. Ja rzuciłem się na kupę śmieci i błota, tarzałem się w niéj bez pamięci, patrzałem czy nie znajdę, czém życie odebrać, ale niebyło nawet skorupki, którąbym mógł poderznąć sobie gardło; musiałem żyć i cierpieć.

Po południu deszcz lać zaczął, obmył mi skrwawione skronie, orzeźwił nieco — usnąłem.

Okropne uderzenie obudziło mnie; ujrzałem koło siebie posługacza kościelnego z kijem w ręku; krzyczał na mnie, żem śmiecia niewymiótł; jam milczał i warczałem tylko ze złości: ta mumija kościelna przerwała mi sen — tak drogi w życiu nędznika! Potem spędził mnie z kupy śmiecia, żebym mu zamiatać samemu nieprzeszkadzał. Stoczyłem się z niéj i położyłem na środku ulicy, a on krzyczał ciągle, żem łajdak, pijak, złodziéj; gniewał się, że musiał sam pracować. Ja leżałem jak kamień, jak kawał bruku na drodze. Zciemniało się. Kareta jechała na bal, konie roztratowały mnie; koła przesunęły się po mnie; jedno przedarłszy mi gębę, strzaskało zęby i wargi rozgniotło, drugie nogi połamało. Ja leżałem i niejęknąłem nawet; myślałem, że umrę przecie.

Któż prosił tych bezdusznych mędrków, aby leczyli ludzi!?

Oni mnie wzywającego śmierci odratowali; nie z litości, bo widziałem, jak obrzynali mi wargi rozprawiając o pomarańczach, ale dla wprawy, aby nauczywszy nóż swój biegać po cielsku nędzarza, śmiało go na bogaczu użyli i zarobili trochę złota, potrzebnego im, na co? nie wiem: wątpię aby na dobry uczynek. Bóg dał im w ręce śmierć i życie; oni nie rozdają, ale przedają to, co im się dostało jak najdroższy dar na ziemi. W ich oczach człowiek jest bryłą gliny; cierpienie jego wówczas tylko porusza, kiedy każdy jęk oszczędzony, złoto im sprowadza. Na co oni mi dali życie drugi raz i puścili z obciętemi wargami, na chwiejących się nogach, niepytając, co z sobą zrobię, nie troszcząc się, czém utrzymam dane mi życie?

Zmrok był, deszcz lał jak z rynny, w rynsztokach wrzała woda wezbrana, ja leżałem w kącie ulicy i patrzałem na niebo, a deszcz lał mi po gębie roztwartéj, obmywał mi twarz zbrudzoną i płynął po obnażonych piersiach.

Wtém widzę dziewczę, to samo dziewczę z przed kościoła; jedną ręką utrzymuje nad sobą parasol, drugą podnosi suknię, stoi nad rynsztokiem i przejść nie może, bo

woda wezbrana nie dozwala. Ja patrzę, wstaję i zbliżam się do niéj; ona spojrzała na mnie i cofnęła się krokiem na widok poczwarnéj twarzy, garbu i łachmanów; chciałem ją rzucić w wodę, rozbić jéj głowę o kamienie, tak byłem zły — krew wrzała we mnie; ale drugie jéj spojrzenie ułagodziło wszystko; skrzywiłem tylko usta, którym warg brakło, jakbym się chciał rozśmiać, i cicho się odezwałem, że ją przez rynsztok przeniosę.

Ona niechciała, bała się, bym mojém dotknięciém nie skalał jéj sukienki; byłem zły; znowu ją chciałem zabić, lecz wstrzymałem się, spojrzałem na jéj oczy i padłem w szerz rynsztoka, z ciała robiąc jéj kładkę do przejścia. Myślałem, że ten anioł nie zechce tknąć nogą nędznika, wyciągnionego jak bryła głazu pod jéj stopami; lecz jakem się zdziwił, uczuwszy na plecach moich i głowie lekką jéj stópkę! Przeszła — wstałem, rzuciła mi pieniądz i śmiała się szalono. Ach! jakżem żałował, żem się położył pod stopy posągu bez duszy! Nie tknąłem pieniądza, rzuciłem się w rynsztok, i leżałem rozpaczający i gniewny.

Zanurzyłem twarz w wodę, chciałem się zalać — nie mogłem.

Takiém to życiem przeżyłem długie lat cierpień, a w każdym roku była cała wieczność męczarni. Potém pod kupą śmieci znalazłem skarb, utajony tam przed kilku wiekami w gruzach rozbitego domu, i przy téj bryle złota stałem się innym człowiekiem.

Bogacz z żebraka, poznałem ludzi, umiałem ich cenić, używać jak za narzędzia potrzebne mi do rozkoszy, gardziłem nimi potém, jak łupiną zjedzonego owocu.

Raz leżałem niedbale, w około mnie stali słudzy na skinienie gotowi, chciałem rozkoszy — chciałem kobiety — rzuciłem garść złota i w mgnieniu oka zjawił się posłaniec rozkoszy — dziewczyna. — Patrzę — ta sama! I ona spojrzała. Skrzywiłem się umyślnie jak szatan — myślałem, że ją tym odstręczę — myślałem, że takiéj poczwarze nie sprzeda wdzięków swoich, ale nie! złoto zagładziło obcięte wargi, wyjaśniło twarz szpetną jak dno piekieł — dziewczyna leżała w mojém objęciu. Poznałem, że niémasz aniołów na ziemi, poznałem, że wszystko na ziemi śmiecie prócz złota.«

(Dokończenie nastąpi.)

Dumki i Fantazje Fr. Żyglińskiego.

Poznań 1844.

Powitaliśmy świeży ten utwór wieszcza krakowskiego z miłą nadzieją, że usłyszym te same piosnki, któremi niedawno Wasilewski tak mile do serc naszych przemawiał, przywodząc nam przed oczy smętny lecz dzielny zarazem lud krakowski. Zawiedliśmy się poniekąd. Inaczéj bowiem nastroił wieszcz nasz swą lutnią; wtórując przytłumionym jéj dźwiękiem pieśni tak rzewliwéj, iż poruszyłby choć najtwardsze serce; w wszystkich prawie rymach odbija się jak w zwierciedle dusza jego stęskniona za krajem, spragniona za swobodą. Wylał on w nich całą gorycz boleści, cały żal znudzonego biedném tém życiem samotnika. Ucieka od ludzi, w których tylko nagie z sercem lodowatém spostrzega szkielety, chroni się po łąkach kwiecistych, po gęstych lasach, gdzie w przeciągłym drzew szumie słyszy piosnkę pojczystą. Tam on mocą swéj wyobraźni wywołuje duchy naddziadów, które posłuszne zaklęciu wieszcza przybywają: »by dziatwę powitać ze snu.« Lecz tam nie znajduje pociechy, gdyż ziemia cała: strojna w drzewa i kwiaty, jest dla niego wielką mogiłą, kryjącą zwłoki matki; głos ptasząt, drzew szum, huk gromów, to hymn pogrzebowy. Zgoła wszystko kirem żałoby okryte, a od ludzi zapach trupi, pleśń cuchnąca go odpycha. Okropny to stan duszy poety, nie ma dla niego zakątka na téj ziemi, gdzieby mógł spocząć w żalu nieutulonym; przeto chciał ulecieć po za gwiazdy i słońca, a stanąwszy u bram niebieskich, zanieść skargi do Wszechmocnego i wyprosić lepszą dolę dla braci. — Trudno odmówić utworom jego wartości estetycznéj; poeta, liryk, skreślając po mistrzowsku, rymem Kochanowskiego godnym, stan swój wewnętrzny, malując obraz swéj duszy, w któréj jak w zwierciedle palném, zbiegają się promienie myśli i uczuć narodu, przepomniał przecież o jednym najważniejszym odcieniu ducha narodowego — przepomniał o nadziei niezachwianéj, jaką żyje lud nasz śpiewając piosnkę Dąbrowskiego. I z téj to przyczyny potępilibyśmy wprost autora i dążność, albo raczéj bezdążność jego, jako nieczasową, szkodliwą nawet, bo pobudzającą do mnichowskiéj bezczynności, do spuszczania się na opatrzność Boską, gdybyśmy niebyli przekonani, że płody te pochodzą z pierwszéj jego młodości, kiedy nie pojmując jeszcze potęgi narodowéj, żył bez nadziei; słuszny bowiem był naówczas żal, słuszną rozpacz jego. Nic przeto dziwnego, że wzywa nieustannie zaklina duchy naddziadów, w nich tylko dostrzega rycerzy — Nic ubliżając bynajmniéj przodkom naszym co do dzielności i męstwa, nie pragniemy przecież wcale ich zmartwychwstania, a tém mniéj przywrócenia świetnych ich swobód i burzliwéj wolności. Jakkolwiek wiele poezyi było w życiu przodków naszych, jakkolwiek wiele pięknych i wzniosłych przedstawia nam się obrazów z przeszłości, o ileż jednak wznioślejszym, o ile poetyczniejszym jest ogrom potęgi ludu! Lecz tam nie sięgnął jeszcze wzrok wieszcza naszego. Oby chciał pójść w ślady szanownéj, czcigodnéj autorki piosnek dla ludu wiejskiego; znajdzie tam w skromnéj, jak sukmana chłopska szacie, w wierszu najprostszym, myśli świeże, jak życie ludu, wielkie, jak jego potęga. Nie zbywa i tam na obrazach żywych niedoli, a przecież widać zarazem i wschodzące zorze pięknéj przyszłości.

W niewielu tylko miejscach u naszego autora, połyska, choć słaba zawsze, nadzieja lepszéj przyszłości; ale i ta oparta jedynie na łasce Najwyższego, nie ufna w siły własne.

Wtedy zaś dopiero, gdy burza przeminie, umilkną gromy, chce i nasz poeta rozjaśnić swe lica, zagrzmieć pieśń wesela; dziś płakać tylko zdolny. W duchu takim mówi do przyjaciół:

Wam przystało pieśń wesołą,
Pełną życia zabrzmieć w świat;
W nadzieję ustroić czoło,
Dla mnie powiędł już ten kwiat.

Czy sprawiedliwy pod tym względem sąd nasz, wiedzieć z pewnością nie możemy. Jakkolwiek bowiem szanowny autor w wierszu: »Biedny i Błogi« inny objawia sposób myślenia, niepewna jednak, czyli to stałe przekonanie jego, gdy zaraz potém następuje, znów cały szereg rymów płaczliwych, pełnych żalu i odrazy do życia.

Najwięcéj zasługują na uwagę poezye, których dążność szlachetna, by odwieść szanowne Polki od czczych zabaw, od uciech jałowych, a zwrócić ich myśli ku potrzebom kraju. Oby posłuchać chciały piękne dziewice nasze głosu zbawiennego! — Szanownemu zaś autorowi radzilibyśmy, aby wgłębił się lepiéj w myśli i uczucia narodu, aby lepiéj podsłuchał tajemniczych poszeptów natury, a wkrótce na inną zaśpiewa nutę, która więcéj przemówi do serca spółbraci.

F. Anielewski.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Zupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*